

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 617·50 Marek, Półrocznie 1235·— Mk. Rocznie 2470·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX, ulica [illegible] Wielkiego L. 25 (dom [illegible]).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 50 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 1 października 1921. Nr. 40.

Zamach Ukraińca na Naczelnika Państwa



Stefan Fedak oddaje strzały w stronę samochodu, w którym zajął miejsce Naczelnik Państwa po opuszczeniu Ratusza lwowskiego.

Zamach Ukraińca na Naczelnika Państwa.

(Do illustracyi tytułowej).

W ubiegłą niedzielę był Lwów widownią wypadku, świadczącego aż nazbyt jaskrawo, że hajdamaczyzna, reprezentowana przez młodą generacyę ukraińską, wypowiedziała polskości walkę na śmierć i życie i że czczą mrzonką są wszelkie nadzieje zgodnego współżycia obu narodów, tak bliskich sobie, a przecież tak dalekich, a wszelkie próby stosowania polityki pojednawczej, mijają się z celem.

Wojująca Ukraina nie cofa się przed żadnym środkiem, który mógłby stwierdzić całą bezdeń jej nienawiści ku Polsce, a młodzi jej politycy nie gardzą nawet rewolwerem, mającym zastąpić argumenty, że wschodnia część Małopolski, to ziemia rdzennie ukraińska, do której Polska praw sobie rościć nie może. Te ich aspiracye popierają moralnie i materyalnie nasi jawni wrogowie, z Berlina idą stale na Wschód miliony marek na pokrycie kosztów antipolskiej agitacyi. W interesie Niemców leży, aby Polska musiała mieć stale zwrócone oczy we wschodnią stronę i nie widziała, co się dzieje na Zachodzie. Zawiodła ich zeszłoroczna bolszewicka ofenzywa, nadzieję pokładają teraz w Ukrainie, stworzonej przez Berlin i Wiedeń, jako przeciwwaga polskości w myśl starej Metternichowskiej dewizy: *Divide et impera*.

To poparcie z zewnątrz rozzuchwala coraz bardziej potomków Gonty i Żeleźniaka, ono włożyło rewolwer w ręce Siczyńskiego, ono skłoniło obecnie Fedaka, aby poszedł w ślady swego kuzyna.

W niedzielę wieczorem, gdy Naczelnik Państwa w towarzystwie wojewody Grabowskiego opuszczał Ratusz lwowski po obiedzie, wydanym na jego cześć przez reprezentacyę miasta, oddano w kierunku automobilu, w którym właśnie zajął miejsce, szereg strzałów, które na szczęście chybiły celu, do którego były skierowane, trafiony natomiast i zraniony stosunkowo dość lekko został wojewoda Grabowski.

Sprawcą zamachu był dwudziestoletni Stefan Fedak, syn znanego działacza ukraińskiego i zdeklarowanego wroga Polaków, dra Stefana Fedaka, dyrektora ukraińskiego banku ziemskiego, słuchacz politechniki Charlottenburgu. Jak w pierwszem posłuchaniu zeznał, chciał zamordować wojewodę Grabowskiego, aby w ten sposób zamanifestować, że nie zgadza się na wprowadzenie województw we wschodniej części Małopolski. Słowom jego wiary nie dano, jeśli bowiem powodowała nim ta myśl, miał dosyć sposobności do wprowadzenia jej w czyn kiedy indziej i nie potrzebował czekać na przybycie Naczelnika Państwa do Lwowa. W dalszym ciągu przyznał się, że już na dworcu kolejowym chciał wykonać zamach, następnie zaś w kilku innych miejscach, ale mu każdym razem przeszkodzono. Z telegramów, nadeszłych do Krakowa, wynikałoby, że Fedak działał z ramienia szeroko rozgałęzionego ukraińskiego sprzysiężenia, zawiązanego we Lwowie pod nazwą „KUM“, pozostającego w związku z zagranicą. Miał on mieć pięciu wspólników, którzy po wykonaniu zamachu zbiegli, lecz następnie ujęci zostali przez organa bezpieczeństwa.

Młodocianego zbrodniarza z trudem tylko udało się policyi wyrwać z rąk rozjuszonego tłumu i odstawić do policyi, a następnie do szpitala. Stan jego jest bardzo groźny tak skutkiem otrzymanych razów, jak i zranienia kulą rewolwerową, która ugodziła go prawdopodobnie podczas szamotania się



Zjazd lekarski francusko-polski w Warszawie: Powitanie francuskich gości w sali Rady miasta.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Zjazd lekarski francusko-polski w Warszawie: Inauguracyjne posiedzenie Zjazdu lekarzy polskich i francuskich w Warszawie w dniu 15 września b. r. w obecności Naczelnika Państwa, przedstawicieli władz i zaproszonych gości. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

z policyantem, który go w chwili wykonywania zamachu uchwycił za rękę.

We Lwowie, a następnie w całym kraju zamach ten wywołał łatwo zrozumiałe poruszenie i oburzenie przeciw ludziom, chwytającym się takich metod przy upominaniu się o swe rzekome prawa. Naczelnik Państwa, który nie zmienił programu swego pobytu we Lwowie, był przedmiotem serdecznych owacyi ze strony ludności polskiej, wyrazy radości z powodu jego ocalenia nadeszły ze wszystkich stron kraju.

Stan zdrowia trzykrotnie ranionego wojewody Grabowskiego nie budzi obaw. Wszystkie rany okazały się lekkie, najcięższa, zadana w szyję, nie zagraża również jego życiu.

Zjazd lekarski francusko-polski w Warszawie.

W poprzednim numerze naszego pisma, podając zdjęcie grupy części francuskich gości, którzy odwiedzili Kraków, zamieściliśmy krótką wzmiankę o odbytym w Warszawie Zjeździe lekarzy francusko-polskich. Wzięli w nim udział najwybitniejsi przedstawiciele świata lekarskiego francuskiego, którzy w pokaźnej liczbie przybyli nad Wisłę, aby poznać nasz kraj i nawiązać bliższe stosunki duchowe z swymi polskimi kolegami. Francuskim gościom zgotowano w Warszawie bardzo serdeczne przyjęcie, w którem wzięły żywy udział nie tylko sfery lekarskie, ale ogół polskiego społeczeństwa, aby w ten sposób złożyć dowód sympatyi dla bratniego narodu, z którym tak silnie związane są nasze losy.

Bezpośrednio po przybyciu do Warszawy francuskich gości odbyło się wieczorem w odświętnie przybranej sali Rady miejskiej uroczyste powitanie, w którem wzięli udział przedstawiciele naszego świata naukowego, władz, instytucyi i licznie zebrana publiczność. Przybyłych powitał serdeczną przemową prezes Rady miejskiej, Baliński, odpowiedział na powitanie niemniej serdecznie prof. dr. Roger prezydent Komitetu Lekarskiego francusko-polskiego w Paryżu i prezes honorowy Zjazdu, dziękując imieniem swych kolegów za przyjęcie. W mowie swej, przyjętej entuzyastycznie przez zgromadzonych, położył silny nacisk na braterstwo łączące Francyę z Polską.

Po powitaniu przeszli goście do sąsiednich salonów, gdzie wśród serdecznej pogawędki, zabawili do dziewiątej wieczór.

Nazajutrz, 15. września b. r., odbyło się w sali Towarzystwa Hygienicznego oficyalne otwarcie kongresu, na które przybyli: Naczelnik Państwa w towarzystwie płk. Piestrzyńskiego i majora doktora Macieszy, jen. Haller, marszałek Trąmpczyński, minister Zdrowia Chodźko, nowomianowany rektor Uniwersytetu warszawskiego Mazurkiewicz i inni.

Przewodniczącym posiedzenia wybrany został rektor Mazurkiewicz, w prezydyum zasiedli prof. dr. Roger, pułkownik Gautier, wiceprezes Towarzystwa lekarskiego polsko-francuskiego w Warszawie i jen. Wierchowski szef sanitarny M. S. W. Zjazd otworzył minister Chodźko powitawszy zebranych, poczem w przemówieniu swojem przedstawił dotychczasową działalność Ministerstwa Zdrowia Publicznego w Polsce. Następnie zabierali głos dr Roger i dr. Babiński, mówiąc o braterstwie francusko-polskiem. Obaj mówcy byli owacyjnie oklaskiwani przez zebraną publiczność. W imieniu Uniwersytetu przemówił rektor Mazurkiewicz, a w imieniu Sejmu poseł ks. Lutosławski. Po przerwie wygłosił prof. Achard bardzo interesujący referat na temat: „Choroby cukrowe."

Po otwarciu Zjazdu zaprosił Naczelnik Państwa wybitniejszych jego przedstawicieli na herbatę do Belwederu.

Szereg naukowych posiedzeń rozpoczął się o godzinie 3. popoł. w sali Uniwersytetu. Pierwszym z mowców był rektor Mazurkiewicz, który wyraził radość z goszczenia uczonych francuskich w murach Uniwersytetu i przedstawił historyę polskich wszechnic. Imieniem młodzieży akademickiej powitał przybyłych słuchacz medycyny Wilczyński. Po przemowie dr. Rogera, skreślającej historyę paryskiego fakultetu medycznego, sięgającego czasów Karola Wielkiego, wygłoszono szereg bardzo zajmujących referatów, żywo oklaskiwanych przez zgro-



Zjazd lekarski francusko-polski w Warszawie: Przyjęcie urządzone w sali Rady miasta na cześć francuskich gości. Na pierwszym planie: jenerał J. Haller, ministrowie Skirmunt i Chodźko, prof. Roger, I. Baliński i dyr. Libicki.

Zdj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Krakowskie kolonie dzieci robotniczych: Kierownicy i dziatwa podczas pobytu na Śląsku Cieszyńskim.

madzonych. Między innymi przemawiał rodak nasz, dr. Babiński z Paryża, neurolog o światowej sławie.

Wieczór zajął raut w salonach Resursy Obywatelskiej przy udziale przeszło czterystu osób ze



Nowa placówka oświatowa: Grono nauczycielskie i uczniowie nowo założonego Seminaryum Nauczycielskiego w Sosnowcu.

świata naukowego i politycznego. Przemawiali na temat przyjaźni francusko-polskiej między innymi min. Chodźko i Stirmunt, dr. Roger i t.d. Jenerał Haller i pułk. Gautier byli przedmiotem serdecznych owacyi zgromadzonych.

Dzień 19. września przeznaczono na zwiedzanie miasta i dalszy ciąg referatów, które wygłoszono w sali Towarzystwa Lekarskiego. Referowali Polacy i Francuzi z najróżnorodniejszych działów medycyny.

Po porannych obradach i dalszem zwiedzaniu miasta odbył się w sali Resursy Kupieckiej obiad, wydany przez profesorów Uniwersytetu warszawskiego na cześć francuskich kolegów. Popołudnie zajął dalszy ciąg referatów i *garden-party* w Agrikoli, wieczorem byli goście francuscy w Teatrze Wielkim na przedstawieniu baletu „Pan Twardowski".

W następnym dniu zwiedzano warszawskie urządzenia sanitarne, a dalszy ciąg obrad wypełniły odczyty i wykłady naszych lekarzy z zakresu chorób infekcyjnych mało znanych na Zachodzie, jak tyfus plamisty i czerwonka, poczem nastąpiło zamknięcie Zjazdu. Wieczorem odbył się raut w sali Resursy Obywatelskiej.

Zjazd warszawski zacieśnił węzły między lekarzami polskimi i francuskimi, którzy odtąd pozostawać będą ze sobą w bliższych stosunkach naukowych, a jego następstwem będzie ułatwienie polskim lekarzom dalszego kształcenia się na uniwersytetach francuskich. Następny zjazd ma się odbyć za dwa lata w Paryżu.

Serdecznie żegnani opuścili francuscy goście stolicę Polski. Część ich powróciła do ojczyzny, część zaś osobnym pociągiem sanitarnym wyjechała do Krakowa.

Krakowskie kolonie dzieci robotniczych.

(Do illustracyi na str. 3).

Towarzystwo Przyjaciół Dzieci urządziło w roku bieżącym dwie kolonie dla dzieci robotników krakowskich na Śląsku Cieszyńskim i na Orawie. Kolonie te przyniosły ogromną korzyść. Dzieci rozwinęły się fizycznie i duchowo, odtywiły się, wypoczęły, a przytem poznały południowo zachodnie kresy Polski. A obok tych korzyści były jeszcze inne.

Dzieci krakowskie zaniosły na kresy „polskiego ducha" jak się wyraził jeden z gazdów orawskich. Swemi śpiewami, przedstawieniami, całem swem życiem gwarnem, wesołem, a przedewszystkiem nawskróś swojskiem agitowały nieświadomie na rzecz polskości na kresach, zyskując sobie wszystkie serca.

To też gdy w dniu 31 sierpnia ostatnia partya dzieci opuszczała kolonie, nie szczędzono jej dowodów szczerej, niewymuszonej sympatyi i życzliwości. Gazdowie i gaździanki częstowali dzieci, odprowadzali je na dworzec, domagali się, aby kolonia przyjechała na przyszłe lato.

Rycina nasza przedstawia właśnie drugą partyę dzieci ze Śląska Cieszyńskiego (w Jaworzu koło Bielska). Wskutek trudności komunikacyjnych nie dało się sfotografować kolonistów orawskich, a szkoda, bo sprawa kolonii wakacyjnych na kresach zasługuje na szerokie popularyzowanie wśród społeczeństwa. Nietylko bowiem przyniesie ona korzyść młodemu pokoleniu, lecz jest także czynem społecznym i narodowym.

Nowa placówka oświatowa.

Z zadowoleniem stwierdzić należy, że nasze władze centralne nie szczędzą starań i wydatków, aby oświatę, zwłaszcza na najniższym jej stopniu, doprowadzić do stanu, w jakim się dawno znajdować powinna. Pod tym względem zwłaszcza była Kongresówka przedstawiała ogromne braki, szkolnictwo bowiem tej dzielnicy, jakie otrzymaliśmy w spuściźnie po rządzie rosyjskim, nie odpowiadało najskromniejszym nawet wymaganiom. W interesie rządu rosyjskiego leżało, aby lud jak najdłużej pozostał w stanie ciemnoty, nie zakładano też szkół, te zaś, które musiały być do życia powołane oddawano pod kierownictwo sił niefachowych, ze szkolnictwem nic wspólnego nie mających.

Jednem z pierwszych starań Rządu polskiego było zatem naprawienie tych braków. Robotę zacząć musiano od samego początku, organizując w postępowy sposób istniejące już szkoły, zakładając nowe i przysposabiając dla nich fachowe siły. Poprawiono też bardzo wybitnie materyalny byt naszego nauczycielstwa, aby młodzież zachęcić w ten sposób do garnięcia się w jego szeregi.

Powstał przedewszystkiem cały szereg seminaryów nauczycielskich, tak męskich jak i żeńskich, aby nowo powstałym szkołom dostarczyć odpowiedniej liczby sił należycie wykształconych, dla nauczycieli, pracujących już w zawodzie, urządza się stale kursy, na których znajdują sposobność zapoznania się z wymogami nowoczesnego szkolnictwa, dziatwie ułatwia się korzystanie z dobrodziejstwa nauki przez zaopatrywanie jej w podręczniki szkolne, niejednokrotnie także w odzież i żywność. Rozwinięto w tym kierunku bardzo intenzywną działalność, a starania te spotykały się z życzliwem przyjęciem szerokich mas, które poznały nareszcie korzyści płynące z oświaty i przestały spoglądać nieufnie na nauczyciela, widząc w nim swego dobrego doradcę i dobrodzieja.

Organizowanie nowych szkół powszechnych postępuje w żywem tempie, w ślad zatem powstają w różnych okolicach kraju seminarya nauczycielskie i niedługo już może doczekamy tej chwili, że każda polska wieś będzie mieć swą własną szkołę,



Zbliżenie między Watykanem a Kwirynałem: Ojciec św. Benedykt XV. przemawia do przedstawicieli katolickiej młodzieży włoskiej, zebranej w ogrodach watykańskich, obok groty Matki Boskiej z Lourdes.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

10 I.

Jestem Niemcem ze strony ojca, a Rosyaninem ze strony matki. Urodziłem się w Berlinie, ale pozostawałem tam krótko, bo rodzice moi wiedli zawsze życie koczownicze i cygańskie. Oboje wyznawali religię żydowską. Ojcie mój był lekarzem, a matka moja oddawała się magii.

Widzę jeszcze mojego ojca, jak blady, anemiczny i chudy, z oczami żarzącemi się jak węgle, stał pochylony nad jakimiś płynami, przygotowanymi przez matkę moją, lub zajętego odczytywaniem wielkich, grubych ksiąg, drukowanych w języku nieznanym mi zupełnie w dzieciństwie.

Matka moja szanowała go i lękała się go. Często bardzo zamykali się w pokoju, skąd dochodziły mnie dziwaczne jakieś śpiewy i wykrzykniki, wymawiane gardłowym głosem mojej matki.

Niezdrowa, namiętna ciekawość rozpalała moją dziecinną głowę. Zawód ojca mojego pociągał mnie bardzo, ale praktyki mojej matki wywierały na mnie urok jeszcze większy.

Byliśmy biedni, ale od czasu do czasu większe sumy pieniężne zjawiały się w naszym domu. Nieznane jakieś osobistości zjawiały się nocą i długo rozmawiały z moją matką. Wtedy w koszuli, boso, wstawałem z łóżka i podchodziłem pod drzwi podsłuchiwać. Niekiedy mówiła coś podniesionym głosem, lub też śpiewała, dziwne zapachy mirby i kadzidła wpływały z jej pokoju. I ja tam pod drzwiami zapadałem w końcu w półsen ciężki, odurzony tymi zapachami. Nareszcie nad ranem matka moja znajdowała mnie tam, brała w ramiona i chłodną ręką chłodziła moje rozpalone czoło.

Ojciec mój powoli wtajemniczał mnie w wiedzę swoją medyczną, a matka zaś, kiedy byłem jeszcze dzieckiem prawie, wtajemniczała mnie w swoje ciekawe praktyki magiczne. Byłem przedwcześnie rozwinięty i wchłaniałem tak namiętnie w siebie wszystkie te wiadomości, że wkrótce stałem się najlepszym pomocnikiem matki. Do lat dwudziestu przeszedłem przez życie, nie znając go wcale, nie widząc, badając tylko książki i rośliny, badając wszystkie źródła życia, wszystkie najtajniejsze tajemnice wiedzy i magii, ucząc się wszystkich praktyk hypnotyzmu i magnetyzmu. Kiedy doszedłem do lat dwudziestu dwóch, byłem już w tych przedmiotach silniejszy od moich rodziców.

Byliśmy w dalszym ciągu biedni bardzo, ale duma moja i zarozumiałość nie posiadały już prawie granic żadnych.

Już sława mojej wiedzy rozeszła się w narodzie żydowskim i przychodzono prosić mnie o radę i pomoc. Byli to sami ludzie biedni i nieszczęśliwi. Opiekowałem się nimi bezinteresownie. Kilku z nich wyleczyłem za pomocą hypnotyzmu. Sława moja wzrastała z dniem każdym, ale majątek mój nie. Byłem brzydki i garbaty, ale posiadałem jeden wielki talizman — młodość. W tym czasie wiedziałem jednak mało o młodości mojej, nie zwracałem na nią żadnej uwagi, wiedza i potęga były jedynym moim celem.

Chciałem zostać bogatym i sławnym... a potem myślałem, przyjdzie czas na miłość i na rozkosze życia.

Matka moja widziała we mnie nie tylko syna swojego i pomocnika, ale i następcę; nie tylko człowieka uczonego, ale tego, który zdoła zapanować nad narodami.

Przytem, radziła mi, abym żył jak najdłużej w czystości obyczajów, aż do czasu, w którym zdobędę majątek i znaczenie.

— Potem — mówiła mi — najpiękniejsze kobiety same ci swoją miłość ofiarowywać będą".

I rzeczywiście długo nie myślałem o kobietach i o miłości. Byłem egoistą. Pragnąłem pieniędzy i zdobycia najwyższego stanowiska w narodzie izraelskim. Posługując się tą bronią pewną i silną, którą nazywam „hypnotyzmem" i która w moc jednego człowieka oddaje wolę i ciała ludzi, dusze ich i tajemnice, doszedłem do potęgi nadzwyczajnej i mocy panowania nad tymi, którzy się do mnie zbliżali, a nawet już przybywali zdaleka, ściągnięci rosnącą moją sławą i znaczeniem.

Prusy jednak, w których przez przypadek zatrzymaliśmy się dłużej, wydały mi się potem zanadto ograniczonem dla mojej bezbrzeżnej ambicyi.

W tym czasie nihilizm w Rosyi zaczął się rozwijać, pomyślałem więc, że te zaburzenia polityczne przy wzburzonych umysłach społeczeństwa, mogą się stać terenem bardzo podatnym dla mnie. Postanowiłem zatem opuścić Berlin i wyjechać do Rosyi. Rosyanie są mistycy w przeważnej części, wszyscy prawie wierzą w spirytyzm, a hypnotyzm pociąga ich więcej, niż ludzi innej narodowości. Zresztą w Rosyi bardzo dużo jest żydów, tam więc łatwo znaleźć mogłem podłoże do rozwinięcia moich pragnień i pracy, mającej mi w zamian dać majątek i sławę.

Oh! Dlaczego zdecydowałem się na ten krok i czemu opuściłem kraj mój rodzinny. W dniu, w którym pozostawiłem za sobą ziemię niemiecką i stąpiłem na wulkaniczny teren Rosyi — w dniu tym rozpoczęły się wszystkie moje nieszczęścia i zawody! Śmiało powiedzieć mogę, że stałem się od tej chwili przeklętej najnieszczęśliwszym z ludzi!

Dobiłem się majątku, potęgi i sławy. Uważany byłem przez moich współwyznawców za nowego proroka, pochodzącego z prostej linii od Mojżesza. Byłem ich przewodnikiem, prawie królem.

Pogrążyłem nieprzyjaciół moich, zwyciężyłem współzawodników, ukradłem wiedzy wiele z jej tajemnic najgłębszych. Wszystko to uczyniłem w Rosyi, w kraju siły i halucynacyi, w kraju inteligencyi i marzenia mistycznego. Ale w Rosyi poznałem Maryę Kabib, w Rosyi przeznaczenie moje okazało się w całej pełni — niezwalczone i okrutne dla mnie.

Jeżeli dziś, bogaty, silny, bez obowiązków żadnych i bez skrupułów, w pełni lat, idę dobrowolnie do grobu, to dla tej przyczyny, iż pewnego dnia zimowego ujrzałem słodką, pociągającą twarz Maryi, owiniętą w długi płaszcz futrzany, z twarzą bladą i dziwnie zamyśloną. Postanowiłem, wyjeżdżając do Rosyi, przepędzić sześć miesięcy w Petersburgu, sześć zaś w Moskwie. W tych dwu miastach bowiem, koncentruje się całe życie Rosyi. Z tych dwu miejsc czyniłem ciągłe wycieczki do Kazania, Kijowa i Odessy i dalej jeszcze w zapadłe prowincye dla poznania moich współwyznawców i pielęgnowania przez doświadczenia hypnotyczne wielkie damy rosyjskie, chorujące na neurastenię.

Nie lękałem się ani nihilistów, ani policyi, ani osławionego rosyjskiego zimna.

Podróżowałem bezustannie, po wszystkich krajach Rosyi i w końcu nie było ani jednego żyda rosyjskiego, któryby mnie nie znał, ani jednej wielkiej damy, któraby nie doświadczyła mojej pomocy w potrzebie.

W tym czasie nazwisko Markusa Hennera znanem się stało w świecie nauki i wiedzy, a najsławniejsi profesorowie i lekarze katoliccy uważali mnie za swojego towarzysza. Zarabiałem bardzo wiele pieniędzy, ale wydawałem ich też bardzo dużo dla ratowania moich biednych braci, wyrabiając sobie w ten sposób wielką popularność, która następnie stała się dla mnie poważną pomocą we wszystkich moich przedsięwzięciach.

W tym czasie właśnie wziąłem za żonę młodą Galicyankę, której nie kochałem wcale, a którą matka moja koniecznie uczynić chciała towarzyszką mojego życia. Klara Meyer była młodą, piękną, lecz ubogą. Usposobienie posiadała łagodne, temperament wrażliwy i nieśmiały, kompleksyę fizyczną nadzwyczaj czułą i delikatną. Tak, jak wszystkie kobiety, z któremi dotąd miałem do czynienia, czuła względem mnie lęk i odrazę, lecz ponieważ samą była na świecie, ponieważ czuła się zgubioną w walce nierównej przeciw ludziom i rzeczom, zapanowała na chwilę nad wstrętem swoim i obawami i poślubiła mnie, żywiąc już w duszy nieuleczalny smutek i żal. Matka moja pragnęła gorąco tego małżeństwa, bo obawiała się dla mnie wpływu innych kobiet i chciała mnie w ten sposób ochronić przed niemi.

W domu naszym od pierwszego dnia zagnieździł smutek i zniechęcenie, nie opuszczając nas już do końca naszego współżycia.

Klara nie mogła nigdy zupełnie zapanować nad wstrętem fizycznym, jaki czuła dla mnie, a później dołączył się do tego lęk i obawa.

Zrozumiawszy jej uczucie, dumny zawsze i nieprzebaczający, stałem się dla Klary mężem zimnym i surowym. Pozostawiałem ją często w domu samą na długie tygodnie, wchodziłem bardzo rzadko do jej sypialni, ukrywałem przed nią stan mojego majątku i nie wtajemniczałem jej wcale we wszystkie przeżycia mojego życia.

Kilka razy, bez jej wiedzy, pogrążyłem ją w śnie hypnotycznym, aby zmusić ją do wymówienia miłości słów i przyzwolenia, którego byłaby mi z pewnością odmówiła w stanie normalnym.

Ale zdrowie jej było tak wątłe, że po przebudzeniu z tego narzuconego snu dostawała silnych ataków sercowych, a nienawiść jej i wstręt wzrastały jeszcze, czyniąc niemożliwem wszelkie zbliżenie się do niej. Zaprzestałem więc moich praktyk względem niej i interesowałem się nią coraz mniej. Zdaje mi się, że czuć się musiała bardzo nieszczęśliwą ze mną, tem bardziej, iż posądzałem ją, iż w tajemnicy przedemną oddaje się praktykom religii chrześcijańskiej.

Klara lękała się wszystkich w domu moim. I matki mojej, która była względem niej niesprawiedliwa i surowa i ojca mojego, który w ostatnich latach swojego życia stał się alkoholikiem, ale przedewszystkiem mnie, który wiodłem życie tajemnice i skomplikowane, pełne dziwnych i niewyjaśnionych czynów i przedsięwzięć.

Ileż to razy widziałem śmiertelną bladość, oblewającą jej twarz delikatną, kiedy w obecności jej siliłem się na cyniczne, okrutne dowodzenia i słowa. Wkrótkim czasie Klara, moja żona, stała się kopciuszkiem domowym, drżąca przed wszystkiem i nienawidzącą w skrytości swojego pana i kata.

Dała mi tylko jedno dziecko słabe i wątłe jak ona i nigdy nie mogłem zmusić się do pokochania jak ojciec tego dziecka, które przecież było zrodzone z mojej krwi i kości.

Klara Henner była w życiu mojem czynnem i niespokojnem tylko bladym epizodem, który nie zdołał wzruszyć głębiej mojej duszy. Później zdobyła się na siłę opuszczenia mnie, a ja nic nie uczyniłem, aby ją zmusić do powrotu, lub wpłynąć na zmianę jej przekonania. Pozwoliłem jej oddalić się i umrzeć gdzieś w spokoju, nie chcąc niszczyć jej ostatnich lat, tak, jak zniszczyłem całe jej życie.

Zdaje mi się, że obecnie już nie żyje. Podejrzewałem, że łagodna, podatna jej dusza zwróciła się ku religii chrześcijańskiej i ten fakt wystarczył, aby pomiędzy nami wyżłobić przepaść głęboką, dzielącą nas już w pierwszych czasach naszego małżeństwa. Dowiedziałem się rzeczywiście później, że schroniła się do jakiegoś klasztoru, do którego przybyła dotknięta już bardzo poważną chorobą serca.

Zapewne, ja to byłem przyczyną nieszczęścia tej kobiety! Ale dlaczego znalazła się ona na mojej drodze? Dlaczego dobrowolnie przestąpiła fatalne koło mojego przeznaczenia?

W życiu tem należy posiadać serce ze stali, lub też zginąć. Ona zginęła, bo za słabą była dla życia. Za słabą i niegodną podzielenia losu tak silnej jednostki, jaką ja zawsze byłem.

Klara zapewne nie kochała mnie nigdy, ale szalona, gwałtowna namiętność, która objęła moje serce, kiedy spotkałem Maryę Kabib — powróciła jej smutek i odebrała jej ostatni promień szczęścia — spokój. Klara nie okazywała mi nigdy zazdrości, bo nie kochała mnie nigdy, ale odkąd Marya Kabib zabrała całą moją duszę i serce, straciła litość, którą mnie obdarzała.

Byłem okrutnym, podłym względem niej. Wyznaję to i nie czuję żadnych z tego powodu wyrzutów, bo sam cierpiałem wiele i wszelkie wyrzuty znikły na zawsze z mojej duszy, prócz jednego — wyrzutu po śmierci Maryi.

Mój syn w młodym bardzo wieku umarł w Londynie. Kiedy poznałem Maryę Kabib, miałem lat trzydzieści pięć, ona zaś zaledwie dwadzieścia trzy.

Garbaty, nędzny, brzydki, wyglądałem jednak na lat pięćdziesiąt, podczas kiedy Marya była w całej pełni swojej młodości i piękności.

Jakże ona była piękna!

Było to uosobienie wdzięku, urody i czaru kobiecego, tego dziwnego, niewytłumaczonego czaru, któremu się żaden mężczyzna oprzeć nie zdoła!

(Dalszy ciąg nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

6)

Zanim Królecki zdążył wykonać jej polecenie, Stefa spostrzegła fiołki i wyciągnęła ku nim rękę.

— Patrzcie państwo, fiołki prawdziwe, a takie ładne, jak sztuczne!... W listopadzie! to szyk! muszę sobie przypiąć do żakieta!...

Chciała z bukietu wyjąć garść fiołków, ale Królecki szybko chwycił ją za ramię i powstrzymał chciwą dłoń.

— Zostaw to! to nie dla ciebie.

Stefa spojrzała mu w twarz oczyma, w których migotały złe, drapieżne błyski.

— Oooo! cóż to takie święte, nietykalne? od kogóż to?...

— Wszystko jedno. Szkoda tych fiołków, żeby odrazu zmarniały.

— Co? co?! to jak ja się w nie ubiorę, to one zmarnieją! — krzyknęła rozzłoszczona — a jak zechcę, to wezmę to zielsko i za okno wyrzucę.

— Nie zrobisz tego.

— Dlaczego? właśnie, że zrobię!...

— Ja nie pozwolę.

W głosie jego dźwięczały akcenty stanowczości, które Stefka znała dobrze. Wiedziała, że kiedy Roman przemawia takim tonem, to należy przerwać dyskurs. Przeskakując odrazu do innej taktyki, pogłaskała go po czarnych, naturalnie falistych włosach i powiedziała łagodnie.

— No dobrze, dobrze, niech tam ci będzie według twojej woli. Ja nawet wolę sztuczne fiołki, bo nie więdną. Ależ wiesz, doprawdy powinnam się gniewać na ciebie. Tylko co mi przyjdzie z tego gniewu, kiedy ty i tak sobie z tego nic nie robisz.

Wyrzekła to z taką zabawną miną, że Roman roześmiał się.

— Ty Stefa jednak jesteś paradna.

— To się wie, tylko trzeba się umieć na mnie poznać.

Stefa usiadła, tuląc się, jak zziębnięta kotka w róg kanapy, ręce skrzyżowała na piersiach, uwydatniających się ponętnie pod zieloną jedwabną tkaniną, nogę założyła na nogę.

— Papierosy masz? dawaj! Stefcia by się likieru napiła, wiesz Romusiu?

Wyjął z małego kredensiku butelkę zielonego, przejrzystego płynu i nalał dwa kieliszki.

— Masz, pi...

— Ale nie tak, Stefa tak nie chce — kaprysiła, przeciągając się leniwie — chodź tutaj bliżej, podaj, upij troszeczkę. O! tak, widzisz, ty zbóju jeden.

Ramiona ciepłe, krągłe, splotły się dokoła szyi mężczyzny, piersi falowały szybko, usta pełne, gorące, rozchylone pożądaniem zmysłowej rozkoszy, czekały pocałunków. Całem ciałem swojem młodem, jędrnem, pulsującem nieokiełzaną krwią tuliła się do niego. Uścisk był tak mocnym, że zdawał się dusić.

Romanowi źrenice zaszły mgłą, krew zaczęła wrzeć w żyłach. Przygarnął ją ku sobie silnie.

— Ty panterko! ty!

Gnąc się w jego objęciach, oderwała nagle wargi od ust Romana i rzuciła pytanie:

— Ale ty mi dasz te fiołki?

— Weź, weź!

. . . .

Zaspany, mruczący coś pod nosem stróż otworzył bramę, wypuszczając Romana Króleckiego i Stefę Łączkównę w czarną bezgwiezdną noc, przesyconą wilgocią, rozpłakaną poświstem wichru, huczącego w rynnach i kominach.

— Co za wstrętne błoto, buciki sobie na nic zniszczę — sarknęła Stefa — poszukaj jakiej dryndy.

Roman ziewnął.

— Gdzież ja ci o tej porze znajdę dorożkę. Musimy iść piechotą, choć i mnie nie chce się wlec po tem błocie; no, chodźmy prędko.

Ujął ją pod ramię. Stefa podniosła rękę do głowy, przytwierdzając mocniej woalkę, którą wiatr zrywał. Wykonując ten ruch, strąciła łokciem z klapy swego żakietu bukiecik fiołków, które upadły w błoto i zostały zaraz zdeptane.

Z pod muru kamienicy oderwała się niepostrzeżenie drobna, ciemna postać i sunęła cicho, bezszelestnie prawie za idącą parą.

Światło latarni ulicznej padło na bladą, skurczoną bólem twarz Bronki Kuźnicówny.

ROZDZIAŁ III.

Woźny wszedł do pokoju maszynistek, oznajmiając, że pan sekretarz Królecki prosi, by któraś z pań zechciała przyjść do jego biura, bo ma pilną robotę. Wśród dziewcząt wszczęło się żywe poruszenie. Bronce Kuźniczównie rozszerzyły się wielkie czarne oczy, wstała szybko od swego stolika, ale zaraz usiadła, znowu bledsza i posępniejsza niż przed chwilą.

— Ta może ja — pisnęła po lwowsku tlusta Mania, ale Kazia zmierzyła ją spojrzeniem tak chłodnem i wyniosłem, że pucołowata dziewczyna straciła odwagę.

— Proszę powiedzieć panu Króleckiemu, że dobrze, przyjdę — powiedziała Kazia z taką pewnością siebie, jakby to wezwanie specyalnie do niej było wystosowane.

Z za gęstych, ciemnych rzęs Bronki błysnęły płomienie, ale z zaciśniętych ust nie wyszło ani jedno słowo.

— Dzień dobry panu, panie Romanie — wyrzekła Kazia, wchodząc do gabinetu Króleckiego i przechylając właściwym sobie ruchem głowę lekko na jedno ramię — pan mnie prosił.

— Tak jest, prosiłem, by która z pań była łaskawa przyjść, mam ważny referat do podyktowania.

Przerzucił kilka leżących przed nim ćwiartek papieru i widocznie zamierzał odrazu przystąpić do pracy. Ale Kazia, nie kwapiąc się bynajmniej do maszyny, przybliżyła się do biurka i jęła przestawiać znajdujące się na nim drobiazgi, jak kałamarz, przycisk, popielniczkę.

— Ja tu zaraz panu tak wszystko zmienię, że będzie wyglądało zupełnie inaczej, pięknie, estetycznie. Ja już mam taką artystyczną rękę.

— Nie wątpię, ale możebyśmy to odłożyli na inny raz.

— O nie! estetyka przedewszystkiem. Człowiek tak dystyngowany i kochający piękno, jak pan, musi mieć wszystko dostosowane do siebie. Pan dzisiaj tak jakoś blado wygląda, dziwnie interesująco, powiedziałabym „oscylująco". Jaki kolor oczu kobiecych pan lubi? prawda, że kobieta powinna mieć niebieskie oczy.

— Nie, proszę pani, ja uznaję tylko oczy czarne, jak noc — odrzucił zniecierpliwiony Roman, który nie mógł znosić ckliwej, wymuszonej kokieteryi Kazi. — Ale o tem może także pogadamy kiedyindziej, bo teraz doprawdy mam tak mało czasu.

Kazia przycięła zębami dolną wargę, w jej jasnych oczach zamigotała złość, która w jednej chwili czyniła ją starszą, nadając delikatnym rysom wyraz ostry i niemiły. Były to interesujący dla psychologa moment przetwarzania się cukrowo słodkiej i poetycznie powiewnej panienki w podstarzałą jędzę. Kazia powściągnęła się jednak i znowu wywołując na ustach uśmiech próbowała podtrzymać rozmowę choć na inny temat.

— Czy nie mógłby mi pan pożyczyć coś do czytania? coś poważnego, głębokiego ja tylko takie rzeczy czytuję. Najchętniej coś z socyologii lub etnologii — wymówiła emfazą naukowe terminy.

— Nie mogę pani służyć, nie zajmuję się temi naukami. A teraz zaczniemy nareszcie pisać.

Cera Kazi przybrała odcień cytrynowy bokiem oczu rzuciła złe, nieprzyjazne spojrzenie i w milczeniu już zasiadła do maszyny.

Roman zaczął dyktować, referat był zawiły, wymagał specyalnego pracowania, to też Królecki dyktował wolno z namysłem, czyniąc już w trakcie dyktowania różne zmiany i poprawki. Kazia zapełniła już pismem maszynowem kilka arkuszy, kiedy Królecki podszedł do stolika i przejrzał jej pracę.

— Ależ co pani tutaj popisała, to po prostu okropność! trzeba to będzie jeszcze raz przepisać. Doprawdy, że zamiast myśleć o socyologii i etnologii mogła by sobie pani kupić podręcznik ortografii.

Panna zerwała się oburzona z krzesła.

— Pan jest impertynent.

— A pani nie ma pojęcia o swojej robocie. Proszę poprosić do mnie pannę Kuźniczównę.

— Może sobie pan sam prosić, ja nie jestem na pańskie usługi. Żegnam.

Wyszła trzasnąwszy drzwiami. Królecki trochę zły, że stracił przeszło pół godziny pracy roześmiał się jednak.

— A to jędza i gęś. Będzie się miał spyszna, kto się w nią ubierze.

Posłał woźnego po Bronkę, która zjawiła się w kilka minut potem.

Cicho i krótko powiedziała „dzień dobry" i zaraz puściła pod dyktandem w ruch swoje wprawne palce po kawiszach maszyny. Królecki nauczony doświadczeniem z Kazią, przejrzał pierwsze zapisane arkusze. Przekonał się jednak, że nietylko nie było żadnych błędów, ale nawet poprawiono kilka omyłek, które on w pośpiechu popełnił.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Z panią to robota idzie aż miło. Nietylko że pani pisze doskonale, ale oryentuje się pani w przedmiocie.

Bronka podniosła na niego swoje wielkie ciemne oczy, podkreślone sinemi obwódkami. Spojrzała mu w twarz śmiało, przenikliwie i trochę jakby ironicznie.

— Dobrze, że przynajmniej tem mogę konkurować z innemi... — rzuciła i umilkła przestraszona własnemi słowami, które się jej nieopatrznie — piszemy dalej proszę pana?

Królecki, który dotychczas nigdy nie zwracał baczniejszej uwagi na tę cichą niepokaźną dziewczynę uczuł nagle jakieś zainteresowanie. Poraz pierwszy zauważył, że ona ma dziwnie piękne oczy podobne do tych, które się spotyka na obrazach mistrzów włoskich, oczy płonące wewnętrznym ogniem przygaszonym delikatną mgłą smutku, aksamitne, głębokie, słodkie, jak noc czarne i tajemnicze, a błyszczące jasno jak gwiazdy. Uderzył go ton jej głosu i gorycz wypowiedzianych słów.

— Jak pani to rozumie?

— Co takiego...

— No to co pani przed chwilą powiedziała, o konkurowaniu z innemi.

— Oi tak tylko mi się coś powiedziało! Głupstwo. Niema o czem mówić. Piszemy?...

— Niezbyt pani usposobiona do rozmowy ze mną — powiedział trochę dotknięty.

Znowu uderzyło go brzmienie jej głosu. Miał wrażenie, że poza temi obojętnemi a niezbyt grzecznemi słowami kryje się coś tajemniczego, nieodgadnionego.

— Osobliwa jakaś dziewczyna — pomyślał — nie jest wprawdzie ładna, ale interesująca. Ma w sobie coś niezwykłego.

Spojrzeniem swych szafirowych jak niebo włoskie źrenic, którem czarował zawsze kobiety, przesunął po liniach jej głowy kształtnej lecz oszpeconej purytańsko gładkiem, staroświeckiem czesaniem, po owalu energicznym trochę zbyt ostrym i wydłużonym, po ustach ładnie wykrojonych ale zanadto bladych. Chociaż oczy miała spuszczone na klawisze maszyny, odczuła ten lustrujący wzrok.

Łuna rumieńca wybiegła na śniade policzki i rozszerzyła się na czoło wypukłe i wysokie z powodu niefortunnego uczesania i na szczupłą szyję wychylającą się z kołnierzyka skromnej bluzki i rubinowy pocałunek złożyła na anemicznych wargach, barwiąc je falą krwi. Blada mizerna dziewczyna rozkwitła jak kwiat przymrożony chłodem poranka rozkwita pod gorącemi promieniami słońca.

— Ależ ona nawet nie brzydka, tylko fatalnie ubrana i uczesana, i zanadto chuda, mizerna...

Wzięła go jakoś przekorna, łobuzerska chętka aby Bronkę przyłapać na omyłce w robocie. Dyktując układał zdania w sposób zawiły, używał określeń czysto fachowych, posługiwał się wyrażeniami obcemi. Referatowi nie szkodziło to a Roman był ciekaw jak się też ta wyjątkowa stenotypistka z tego wywiąże. Zawiódł się jednak w swoich oczekiwaniach, wszystko było poprawnie napisane.

— Doskonale! — pochwalił nie mogąc ukryć swego podziwu — pani chyba specyalnie interesuje się sprawami ekonomicznemi?

— Specyalnie nie, kiedy się jednak ciągle te rzeczy pisze a trochę tylko uważa i myśli.

— O! cóż to właśnie!... — zaśmiał się Królecki — kiedy się trochę myśli. A o to nie tak łatwo wśród naszych panienek w biurze.

— A po co im to?

— Czyż pani chce dla siebie zachować monopol myślenia wśród swoich koleżanek?

Ciąg dalszy nastąpi.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Powie, że jedzie tylko na kilka dni. Nigel nie będzie się sprzeciwiał, a Meyer Isaacson? Czego chciał i co względem niej zamierzał? Mrs. Armine nie wiedziała. W obecnej chwili nawet o to nie dbała. Zdawało się, że powrót do willi i odpłynięcie Lonlii zgasiły w niej ogień. Podczas gdy była na Lonlii jakby w pięknem więzieniu miała straszne chwile przygnębienia, prawie rozpaczy, lecz mogła się opanować. I tam była panią.

Obecnie Nigel został z jej rąk wyrwany i piękne więzienie już do nich nie należało. A ten powrót do domu, w którym się zaczęło jej życie w Egipcie dziwnie ją podniecił. I znowu Lonlia stała tam, jak wtedy, kiedy Barondi na niej się znajdował; znowu Mrs. Armine słyszała pieśń o Allahu jak owego wieczoru, kiedy ją po raz pierwszy usłyszała i kiedy była serenadą na jej przywitanie. Jak wiele zaszło od tej pory!

Teraz, w domu po za nią było dwóch ludzi — człowiek, który jej nie znał, i kochał, i człowiek, który ją znał i nienawidził.

Lecz człowiek, który ją znał i który jej pragnął taką, jaką była... ten nie był tutaj.

Czuła, że musi go zobaczyć, że musi mu powiedzieć wszystko, co się stało od kiedy wsiedli na Lonlię. A jednak, czy mogła, czy będzie śmiała pozostawić Nigla samego z Meyerem Isaacsonem?

Przechadzała się wciąż po wybrzeżu pod zaroślami.

Kiedy Isaacson stanął przed nią w świątyni w Edfu, miała chwilę panicznego strachu... chwilę, jaką można mieć raz jeden w życiu. Nastąpił później okres obawy i walki, i walka ta nie ustawała.

Lecz musi mieć słowo od Barondiego, choć jedno jego spojrzenie. Bez nich, czuła, że może... że musi popełnić coś szalonego, coś rozpaczliwego.

Najcięższym ciosem, który ją spotkał, była ucieczka Hartley'a. Ta ucieczka osłabiła jej pewność siebie, była katastrofą, zwiastującą inne katastrofy, które miały nastąpić. Nasunęła się jej nawet myśl, która na pewne była niedorzeczną.

Przypuściwszy, że Nigel wydostałby się z pod jej wpływu!

Gdyby ją opuścił nie dbałaby o to. Nie pragnęła, żeby Nigel jej żałował. Gdyby ją opuścił, przestałby istnieć dla niej. Był dla niej tylko ciężarem, który ją uciskał, który jej przeszkadzał osiągnąć szczęście, jakiego pragnęła. Lecz dopóki była z Niglem, wpływ jej musiał przeważać. Była pewną, że Isaacson nie okazałby dla niej najmniejszej litości, gdyby Nigel znalazł się po jego stronie.

— Co ma czynić? co ma czynić?

Z głębi serca przeklinała praktyczną, samolubną stronę charakteru Barondiego. Lecz bała się. Pamiętała jego słowa:

— Musimy otrzymać wszystko, czego pragniemy, nie ponosząc żadnej straty.

I widziała go... oh, jak często!... wchodzącego do namiotu odaliski.

Wytrzymałość jej się kończyła. Czuła to dobrze.

Po powrocie do willi Hanza bez słowa tajemnie ich opuścił.

— Parę razy Nigel zapytał o niego. Początkowo mówiła, że poszedł odwiedzić swą rodzinę, a następnie, że odszedł, gdyż się czuł obrażony zostawszy usunięty od swego pana — rozkaz doktora Isaacsona wiesz... — i Nigel na to nic nie odrzekł. Gdzie był Hanza? Mrs. Armine zapytała o niego Ibrahima. Lecz Ibrahim, bez zwykłego uśmiechu, odpowiedział, że nic nie wie o Hanzie, a w sercu Mrs. Armine zabłysła nadzieja, że Hanza poszedł do Barondiego, że może wkrótce powróci, jako jego posłaniec.

A jednak czy mogło jakiekolwiek dobro, jakie szczęście przyjść na nią przez modlącego się poganiacza osłów? Instynktownie łączyła go zawsze z fatalnością, ze złem i następującym po niem smutkiem. Wyraz jego oczu, kiedy się na nią zwracały wydawał się jej jak spokojna, nieustanna groźba. Miała uczucie, że jej nienawidził, może dlatego, że uważał ją za chrześcijankę. Dziwne, gdyby to właśnie było przyczyną jego nienawiści!

Znowu stanęła nad rzeką.

Słyszała wciąż śpiewających na Lonlii żeglarzy i dalekie szczekanie psów. Spojrzała machinalnie na gwiazdy i przypomniała sobie, jak Nigel się na nie patrzał wtedy, kiedy chciała, żeby był tylko nią zajęty. I znowu patrzyła na błękitne światło na maszcie Lonlii.

Po za nią zaszeleściały krzaki.

Szybko się odwróciła. Ibrahim wychylił się z ciemności.

— My lady, lepiej wrócić — rzekł. — Bardzo samotnie tutaj.

Zawróciła do brzegu. Podał jej rękę, żeby pomódz. Kiedy weszli na krawędź — rzekła:

— Gdzie jest Hanza, Ibrahim?

Chłopięca twarz Ibrahima była nadąsaną.

— Nie wiem, my lady. Nie wiem nic o Hanzie!

Po raz pierwszy przyszło na myśl Mrs. Armine, że Ibrahim i Hanza nie byli już przyjaciółmi. Otworzyła usta, żeby zapytać się o przyczynę, lecz zamknęła je bez słowa i milcząc wracali do domu.

Następnego dnia, kiedy Mrs. Armine wyjrzała przez okno, Lonlia wciąż stała naprzeciwko. Wzięła szkła, żeby zobaczyć, czy nie było na niej zwykłego ruchu przed odpłynięciem. Lecz wszystko zdawało się być spokojne.

A zatem Barondi pewnie wkrótce przybędzie.

Postanowiła być jeszcze cierpliwą i nie jechać do Kairu.

Lecz kiedy dzień po dniu przechodził, a Barondi nie dawał znaku i Lonlia wciąż stała na zachodnim brzegu z zamkniętemi okiennicami, rozdrażnienie wróciło i zwiększało się z każdą godziną.

Isaacson nie przeniósł się do hotelu, lecz w dalszym ciągu pozostawał w willi. Była zmuszona ciągle go widywać, okazywać mu grzeczność, jeżeli nie życzliwość, jego czujność nad Niglem była niestrudzona. System jaki zaprowadził na początku nie uległ żadnej zmianie. Niglowi nie było wolno przyjmować cokolwiek z innej ręki, tylko z ręki doktora.

Stosunek pomiędzy lekarzem a pacyentem był wciąż dziwny i naciągnięty. Pomimo nieograniczonego zaufania, jakie miał do lekarza, dawniejsza serdeczność dla przyjaciela nie wracała. Początkowo Isaacson żywił tajemną nadzieję, że przy zmniejszającem się osłabieniu, kiedy biedny chory uczuje powracające mu stopniowo siły, może bezwiednie wróci do dawniejszego sposobu życia. Lecz pomimo, że lekarz spotykał się z w dziecznością pacyenta, przyjaciel nie spotkał się nigdy z serdecznością przyjaciela.

Wpływ Bella Donny nie słabnął. Pomiędzy tymi dwoma mężczyznami stała kobieta rozdzielając ich nawet teraz, kiedy jeden opiekował się drugim, przywracał go do życia, oddawał mu wszystko.

Gdyż ten przedłużony pobyt w Egipcie był poważną rzeczą dla Isaacsona. Nietylko tracił materyalnie obecnie, ale prawdopodobnie, a nawet całkiem pewnie będzie miał straty w przyszłości. Były chwile kiedy z goryczą o tem myślał, Lecz to były chwile przelotne. Miał swą nagrodę w powracających siłach chorego. Lecz czasami trudno było znieść atmosferę przymusu, która panowała w willi Andrond. Byłoby jeszcze trudniej, gdyby i on, tak jak Bela Donna nie miał do działania w ciemności, poszukując nici przewodniej. Nadeszła chwila kiedy ją znalazł.

Za pośrednictwem Hassana korzystają z oburzenia Ibrahima na Hanzę, wydobył z niego, w jaki sposób Mrs. Armine spędzała dnie podczas pobytu Nigla w Fayum.

Kuracya Nigla powiodła się znakomicie. Mrs. Armine widziała powracające życie do oczu wyrażających tak niedawno chorobliwe znużenie. Członki poruszały się swobodniej. Noce nie były już męczarnią wywołaną dojmującym reumatyczym bólem. Wyschnięte usta i gardło nie domagały się chłodzącego napoju. Okropne cierpienia, skutkiem których nieszczęśliwa ofiara życzyła sobie prawie śmierci, ustały. Szarość cery, widoczna dla tych nawet, którzy Nigla spotykali przelotnie, znikła. Wprawdzie był bardzo wychudzony i blady, ale nie miał nienaturalnego wyglądu. Twarz jego była twarzą człowieka, który przeszedł ciężką chorobę i wraca do zdrowia.

Nigel wyzdrowieje, prędko wyzdrowieje. Nie będzie jeszcze bardzo silnym może przez dłuższy szas, lecz wyszedł z niebezpieczeństwa. Pewnego dnia zrozumiał to i powtarzał sobie w duchu z rodzajem zdziwienia i radości.

Dzień, w którym doszedł do tego przekonania był dniem, w którym Isaacson znalazł w ciemności przewodnią nić, której poszukiwał, i tego dnia także Mrs. Armine powiedziała sobie, że nie może dłużej znieść tego życia. Musi pojechać do Kairu, choćby na dwa lub trzy dni. Jeżeli Barondiego tam nie zastanie, pojedzie za nim do Aleksandryi. Pokrzyżowane plany, ustawiczna obecność Meyera Isaacsona, któremu musiała okazywać uprzejmość, a nawet wdzięczność, zazdrość, zapuszczająca coraz głębsze korzenie, nie dawały jej spokoju. By a przekonaną, że gdyby pozostała dłużej w willi zdradziłaby się jakimś wybuchem. Isaacson tak długo milczał o przyczynie choroby jej męża, że czasem jej się zdawało, że tej przyczyny nie poznał. Może było szaleństwem z jej strony tak bardzo się go obawiać. Wmawiała to w siebie i prawie uwierzyła.

Lonlia wciąż stała uwiązana na zachodnim brzegu Nilu, lecz każdego wieczoru spoglądając na nią z ogrodu Mrs. Armine widziała, że okna były ciemne. Starała się zasięgnąć wiadomości od Ibrahima, lecz nie był już uśmiechniętym chłopięcym jej wielbicielem i niewolnikiem. Spełniał starannie swe obowiązki, był uprzedzająco grzecznym, lecz miał wyraz prawie ponurej tajemniczości. I kiedy wspomniała o Barondim, rzekł:

— My lady, nic nie wiem.

— Dobrze, ale na Lonlii? — pytała dalej — Reis... załoga...

— Oni nic nie wiedzą. Nikt tutaj nic nie wie.

Postanowiła dłużej nie czekać, lecz samej się dowiedzieć.

Wyszła na taras, gdzie Nigel spoczywał na długim fotelu. Książka leżała obok, lecz jej nie czytał. Patrzał na ogród i na dalekie wzgórza zamykające pustynię Libijską. Isaacsona nie było przy nim, wyszedł na przechadzkę nad Nil.

Mrs. Armine zwolna podeszła i siadła obok męża.

— Drzemiesz? — zapytała swym najsłodszym głosem.

Wstrząsnął głową.

— Budzę się — odrzekł. — Budzę się do życia.

— Wyglądasz o wiele lepiej dzisiaj.

— Lepiej niż wczoraj — rzekł — z pośpiechem. — Tak myślisz? Zauważyłaś to Ruby?

— Tak.

— To dziwne, dzisiaj... wiem, że wyzdrowieję. Dzisiaj wiem... Ruby, pomyśl o tem!... że będę zdrów jak dawniej.

— I ja to wiem także, Nigel... dzisiaj... i dlatego wreszcie czuję, że mogę cię o coś poprosić.

— Wszystko... wszystko. Uczynię co zechcesz po całem twem poświęceniu dla mnie.

— To prozaiczna prośba. Chcę tylko, żebyś mi pozwolił pojechać dzisiaj wieczornym pociągiem do Kairu.

Twarz jego posmutniała. Wyciągnął do niej rękę.

— Wyjechać! Wyjechać do Kairu! — zawołał.

— Tak, Nigel — rzekła z łagodną stanowczością. — Przeglądnęłam moją garderobę ostatniemi dniami i przekonałam się, że mam poprostu łachmany.

— Lecz twoje suknie...

— To nie chodzi tylko o suknie. Czy nie poślesz mnie na dwa dni, ażeby kupić czego koniecznie mi potrzeba? Nie wydam dużo pieniedzy.

— Gdyby tylko to.

— Uścisnął jej rękę i w tym uścisku okazał powracające siły.

— Będę bez ciebie.

— Przez dwa dni. Będziesz miał doktora Isaacsona. Chcę jechać dopóki jest jeszcze z nami, ażeby cię nie zostawić samego. Słuchaj, Nigel, czy nie mógłbyś w czasie mojej nieobecności wybadać go, ile mu jesteśmy winni? Pewnie ogromną sumę.

— Nigel Nagle się zamyślił.

— Nigdy nie pomyślałem o tem — rzekł zwolna.

— Nie, gdyż byłeś chory. Ale ja często myślałam. Musisz się nad tem zastanowić teraz.

— Tak, uratował mi życie. Nigdy nie będę mógł dostatecznie mu się odwdzięczyć.

— Oh, owszem, możesz. Lekarze czynią to za określoną sumę, wiesz o tem.

Poruszył się w fotelu i rzucił na nią niespokojne wejrzenie.

C. d. n.

Kronika tygodniowa

Babemus papam!...

Nowy gabinet prof. Ponikowskiego ujął już ster rządów w swe ręce. Jest to gabinet przejściowy, posasejmowy, mający za zadanie naprawić to złe, jakie po sobie zostawili w spuściźnie poprzednicy i utorować drogę następcom. W pierwszej linii ma zatem przeprowadzić rozwiązanie Sejmu i nowe wybory, wprowadzić ład wewnątrz kraju, przedewszystkiem zaś poprawić nasze finanse, przedstawiające się z dnia na dzień coraz gorzej. Gdy się czyta w pismach codziennych sprawozdania giełdowe, nie wiadomo doprawdy, śmiać się, czy płakać. Nasza marka spadła tak nisko, iż nic już za nią kupić nie można, stan jej najlepiej określa wartość tak drobnego przedmiotu, jak zwykła zapałka, która dzisiaj kosztuje w „wolnym handlu" dwadzieścia fenigów za sztukę. Gospodarka naszych wielkich polityków doprowadziła nas poprostu do ruiny, z której nie tak łatwo będzie kraj wyratować.

A tu, jakby na domiar złego trudno znaleźć odpowiedniego kandydata do objęcia teki skarbu. Na razie powierzono ją prowizorycznie w ręce wiceministra Markowskiego (*nomen-omen*..., może przecież raz marka przyjdzie do siebie!) wyłoniła się nadto koncepcya, aby mu do pomocy dodać Radę Skarbową, złożoną z dwunastu osób, wyposażoną w bardzo daleko idące prerogatywy. Autor projektu wychodził, zdaje się, z założenia, że, co trzynaście mądrych głów, to nie jedna, ale widocznie zapomniał o naszem starem przysłowiu, które powiada, iż „gdzie gospodyń sześć, tam niema co jeść". Jeśli zaś sześć gospodyń sprawia tyle kłopotu cóż dopiero będzie, jeśli się ich znajdzie cały tuzin. Ciekawy także byłby stosunek między kierownikiem ministerstwa a ową Radą, kto od kogo byłby zależny. Różnego rodzaju rady, tak przyboczne, jak i inne, okazały się dotąd tak nie odpowiadającemi swojemu celowi, że projekt obecny uważać należy za zupełnie chybiony. Na szczęście, nie doczeka się on prawdopodobnie realizacyi, gdyż, jak donoszą ostatnie telegramy, nawiązano rokowania z wybitną siłą finansową drem Michalskim, o objęcie teki skarbu. Czy doprowadzą one do rezultatu, dziś, gdy to piszemy, przewidzieć trudno, w każdym razie należy się spodziewać, że dr Michalski, decydując się na zajęcie miejsca na niewygodnym fotelu zastrzeże się z góry, aby mu zostawiono wolną rękę działania. Czy to jednak zda się na co, to także kwestya. Wszak i dr Biliński, obejmując swojego czasu tekę skarbu, postawił zaraz na wstępie warunki, mające na celu sanacyę naszych stosunków finansowych, warunki te przyjęto, ale nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by się do nich stosować. Po staremu gospodarował każdy minister na swoją rękę, wołał o pieniądze, ale nie troszczył się bynajmniej o to, skąd je ma czerpać minister finansów. A ówczesne stosunki nie były jeszcze tak opłakane, jak obecne.

Przyszłego ministra skarbu czeka też praca bardzo ciężka i trzeba mieć nielada siły i zapas energii, by jej podołać. Na niego zwrócone są oczy całego narodu, którego wyrazem może być Weronika, dozgonna towarzyszka kronikarza na tym padole braków i deficytu. Oświadczyła ona kategorycznie, że, jeśli nie otrzyma miesięcznie pięćdziesiąt tysięcy marek, nie licząc w to czynszu za mieszkanie, zakupna węgli i innych nadzwyczajnych wydatków, zrzeka się prowadzenia gospodarstwa domowego. Wygaśnie zatem ognisko domowe, a aby się to nie stało poradzić jest w mocy jedynie minister skarbu, ratując stan naszych finansów, a tem samem ogólny dobrobyt. W miarę poprawiania się stanu naszej waluty ustaną też ciągłe żądania podwyżki płac i wynagrodzeń, spadną ceny najniezbędniejszych artykułów do życia i wówczas dopiero powrócić mogą czasy bodaj nieco podobne do przedwojennych. Takie bowiem stosunki, jakie wówczas panowały, nie powrócą już nigdy.

Pertraktacye z drem Juliuszem Twardowskim o objęcie portfelu spraw wewnętrznych, spełzły na niczem. Nie podjął się wymiatania śmieci, które tak zanieczyściły młodą Polskę, jak gdyby była ona śmietniskiem, na którym je składano całe dziesiątki lat, gdy tymczasem samodzielność nasza liczy dopiero trzeci rok życia. Obok spraw finansowych sprawy administracyjne wewnętrzne są naszą drugą piętą Achillesową, a takich pięt, niestety, mamy jeszcze więcej. Gdzie ruszyć, wszędzie braki i niedomagania, z jakimi trudno się spotkać gdziekolwiekbądź w cywilizowanym świecie. Przekonał się o tem minister poczt i telegrafów Stesłowicz, z okazyi rokowań Warszawy z bawiącym podówczas w Krakowie drem Twardowskim. Telefon międzymiastowy nie chciał ani rusz funkcyonować, okazał się nieposłusznym nawet wobec swojego bezpośredniego przełożonego. I zapłakał zapewne wówczas pan minister nad nieszczęsnym losem tych wszystkich, którzy zmuszeni posługiwać się telefonami, zamiast oszczędzić na czasie, przysparzają sobie kłopotów i zmartwień, nabawiając się niejednokrotnie rozdrażnienia nerwowego.

Nowy gabinet, z wyjątkiem pana ministra aprowizacyi, który już ustąpił, urzęduje już drugi tydzień, z narzekaniami nań nie spotkaliśmy się jeszcze, już choćby tylko z tego powodu, iż poszczególni ministrowie rozpatrują się dopiero w sytuacyi, aby módz nabrać należytego rozmachu. Czy odpowie on pokładanym w nim nadziejom, to dopiero przyszłość pokaże, choć prawicowe kruki kraczą, że nie da rady, do czego się one naturalnie mają zamiar przyczynić. My życzymy mu powodzenia, gdyż tu rozchodzi się o naszą skórę. Z doprowadzeniem do ładu stosunków wewnętrznych i finansowych pójdzie trudno, łatwiej natomiast z rozwiązaniem Sejmu i rozpisaniem nowych wyborów, gdyż posłowie sami przyznają, że w Warszawie siedzą już za długo i czas wracać do domowego ogniska, aby nie wygasło. Który z nich miał zrobić interes na swem poselstwie, już go zrobił, będzie więc zatem zadowolony, mogąc w spokoju spożywać owoce swej „pracy". Prawie trzy lata potrzebowali na uchwalenie Konstytucyi, co na dobry sposób mogło być załatwione najwyżej w pół roku, przy tej jednak sposobności radzili *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, o swoich interesach nie zapominając. Na odchodnem towarzyszą im życzenia ogółu, aby spoczywali w pokoju, ale broń Boże, nie wracali już do sali sejmowej, gdyż się tu bez nich obejdzie.

Nowa kampania wyborcza zbliża się zatem, ale o tem pamiętają tylko niektóre stronnictwa, rozwijając już teraz agitacyę, gdy natomiast większość, i to właśnie ta, która powołaną być powinna do zabrania głosu siedzi cicho, jak gdyby oczekiwała zmiłowania Bożego i manny z nieba. I dzięki tej jej powściągliwości, a raczej ospałości, stać się może bardzo łatwo to samo, co przed trzema laty, że do Sejmu dostaną się przeważnie same zera i to może te same, które go obecnie opuszczą, a byłoby bardzo pożądanem, aby prawie żadne z nich z powrotem tam nie wlazło.

Prezydent Witos nie traci dobrej miny i agituje dalej na rzecz swoją i swojego stronnictwa. Dotąd ułatwiało mu tę pracę jego stanowisko urzędowe, obecnie korzysta ze swej dymisyi i przedstawia się jako ofiara swych starań dla dobra ludu. Mając teraz więcej czasu, więcej też może go poświęcić pracy nad „uświadomieniem ludu", że Polska jest chłopską i miejskim ciarachom powinno się raz na zawsze wybić z głowy, by mieli kiedyś powrócić do rządów. Słowa jego padają na grunt urodzajny, nic też dziwnego, że gospodyni wiejska uważa za wielką łaskę, jeśli sprzeda w mieście jajko za piętnaście marek, a litr należycie rozwodnionego mleka za ośmdziesiąt, każąc sobie w ten sposób płacić odszkodowanie za chwilowe wyrzeczenie się swych zasad. A biedne mieszczuchy, nie mając ochoty zginąć śmiercią głodową, płacą, ile poczciwy kmiotek zażąda, bojąc się, by go sobie nie zrazić. W skrzyniach chłopskich jest też dziś więcej gotówki, niż dawniej w kasach wertheimowskich i pod tym względem stała się dziś Polska naprawdę chłopską, bo ten pan, kto ma pieniądze. O ile rozchodzi się o branie pieniędzy, bracia włościanie są pierwsi, uważając, że im się to należy, jeśli się jednak rozchodzi o pełnienie obowiązków obywatelskich i świadczenie na rzecz państwa, choćby tylko w postaci płacenia podatków, radzi byliby być ostatnimi. A trzeba przyznać, że pod tym względem są oni wybrańcami losu, gdyż cały ciężar podatkowy spada przeważnie na karki i kieszenie tych, którym się odmawia prawa upominania się o swoje.

Nowy rząd nie może liczyć na poparcie sfer ludowych, które wogóle do każdej władzy odnoszą się z niechęcią, a tembardziej do tych, które objęły spuściznę po ich wybrańcu.

O ile uda się gabinetowi prof. Ponikowskiego uporać się szczęśliwie z uregulowaniem spraw wewnętrznych i finansowych, o tyle można liczyć na poprawienie się naszego stosunku do zagranicy, która spogląda na nas bardzo nieufnem okiem, jako na ludzi nie umiejących się rządzić w swoim własnym domu, nie mogących zatem rościć sobie prawa do tego, by ich inni uważali za równych sobie i dopuszczali do przyjacielskiej komitywy. Kokietujemy naszych sąsiadów, a oni, nawet „bracia Słowianie" nie mają nas za psie poszycie, jak temu dał wyraz na posiedzeniu Ligi Narodów delegat serbski, straszący Polską odwetem rosyjskiego kolosa, źle trafionego, który się jeszcze podniesie i upomni o swoje prawa. Oczywiście „brat" Serb, wypasiony na carskich rublach miał na myśli Rosyę carską, będącą stale przedmiotem westchnień różnych dawnych przyjaciół i sługusów.

W polityce zagranicznej, przyznać trzeba, nie wiedzie nam się stale, przyczynia się zaś do tego w wielkiej mierze nieudolność naszych dyplomatów, do których bardzo odpowiednio można zastosować przysłowie „mądry Polak po szkodzie". Do czego się zabiorą, to im się nie udaje. Po Śląsku Cieszyńskim i Gdańsku, przyszła kolej na Wilno, czeka nas jeszcze Górny Śląsk i Galicya Wschodnia, a wszędzie, tak się jakoś nieszczęśliwie składa, wyjdziemy nie najlepiej. Wybór przewodniczącego Ligi Narodów jest wskazówką i ostrzeżeniem, że angielskie wpływy wzięły górę, a wiemy o tem bardzo dobrze, jak życzliwie jest wobec nas usposobiony Lloyd George, wyobraziciel opinii angielskiej. Z tego, co dochodzi nas obecnie z Genewy, można wnosić, że z Wilnem i Górnym Śląskiem trzeba się nam pożegnać, zwłaszcza, że o sprawach tych decydują nieodwołalnie panowie, znający je z mapy i przedstawień angielskich. Liczyliśmy zawsze na pomoc i poparcie Francyi, ostatnie wypadki wykazały przecież, mianowicie gdy chodziło o sprawę Wilna, że nadzieje te mogą zawieść. Przeciwko nam wystąpił przedstawiciel Francyi Bourgeois, o ile oczywiście prawdą jest to, co doniosły pisma codzienne. Jeśli tak było, to także niema się czemu dziwić, gdyż sympatya sympatyą, a interes przedewszystkiem, a ten właśnie nakazywał utrzymanie harmonii w koncercie dyplomatycznym i niemącenie go niepotrzebnym dysonansem. Co zresztą znaczyłoby poparcie naszej sprawy przez jedną Francyę, gdy reszta państw tworzy zwarty blok, trzymający się kurczowo poły Lloydowego tużurka, a sprawę referują tacy znawcy europejskich stosunków, jak przedstawiciel Brazylii, Chin lub Ekwadoru. Lloyd George wiedział dobrze, kogo forsuje na przewodniczącego Ligi i odpłacił tem pięknem za nadobne Briandowi za poprzednią swą polityczną porażkę, gdy szło w Paryżu na Radzie Najwyższej o sprawę górnośląską. Ale Lloyd George jest nie tylko dyplomatą, ale i adwokatem, a jako taki umie kręcić podwójnie i wie dobrze jakie ma znaczenie odsyłanie sprawy z instancyi do instancyi. Jest to poprostu jej pogrzebaniem.

Szkoda jednak nabijać sobie głowy polityką i martwić się tem, co nas dopiero czeka, gdy się wyrok dostanie na piśmie. Można się łudzić nadzieją, że Duch święty zstąpi na członków Ligi i oświeci ich, jeśli się zaś to nie stanie, na płacz i narzekania będziemy mieć dosyć czasu. Obecnie najważniejszem jest zbliżanie się zimy i konieczność przygotowania się na przyjęcie tego gościa. Pierwsze jaskółki już do nas zawitały, a to w postaci obwieszczenia magistratu, iż rozpoczyna wydawanie kart, upoważniających do poboru węgli w... miejskiej kopalni w Jaworznie. Kto zatem będzie chciał zaopatrzyć się w te czarne dyamenty, będzie mógł połączyć przyjemne z pożytecznem, gdyż po przyznany cetnarek lub dwa, trzeba się będzie wybrać z koszyczkiem do Jaworzna, użyje się zatem przy tej sposobności i ruchu i świeżego powietrza, nie każdego bowiem stać na to, by się tam wybrał koleją. Zresztą taka podróż, choć Jaworzno nie tak daleko, musiałaby trwać co najmniej trzy dni. Podobno ma magistrat wydawać upoważnienia do zaopatrywania się w węgle i na Górnym Śląsku, ale dopiero po definitywnem przyznaniu go Polsce, szczęśliwy posiadacz „kartki" będzie ją mógł zatem niezrealizowaną przekazać w spadku swym wnukom, a sam, o ile matka-natura obdarzyła go bujną wyobraźnią, cieszyć się tymczasem, że mu jest ciepło.

Meteorologowie pocieszają nas jednak, że tegoroczna zima będzie lekka, albo jej wcale nie będzie, o czem świadczyć ma okoliczność, że kasztany ponownie zakwitły, a w ubiegły piątek pokazały się na targu nawet borówki, po cenach bardzo wiosennych.

Pocieszajmy się zatem, że, choć węgli nie dostaniemy, nie zmarzniemy, bo „Pan Bóg łaskaw na Mazury". Zaopatrzenie się w węgle, gdy cetnar ich dochodzi już tysiąca marek, a w najbliższym czasie niezawodnie kilka razy jeszcze „podskoczy", dostępne jest tylko dla wybrańców losu, a nie dla zwykłych śmiertelników, których miesięczne pobory wynoszą aż piętnaście tysięcy marek, za co można sobie pozwolić raz na rok na sprawienie pary... nieprzemakalnych sznurowadeł do trzewików, aby noga bodaj od góry przedstawiała się elegancko, gdy od spodu świeci golizną.

w niej fachowo wykształconego nauczyciela, mającego na celu niesienie oświaty między najszersze masy.

Z początkiem bieżącego roku szkolnego otwarto w Sosnowcu rządowe Seminaryum Nauczycielskie męskie, które oddano pod kierownictwo wybitnej siły pedagogicznej, dyrektora W. Mazura. Że u nas nie brak chętnych do poświęcenia się pięknemu choć

czonych Włoch. W dniu tym przyjął papież Benedykt w ogrodach watykańskich w grocie Matki Boskiej z Lourdes, delegacye katolickiej młodzieży włoskiej, która przybyła celem złożenia mu hołdu i wzięcia udziału w piętnastej rocznicy ufundowania przez panie francuskie tejże groty, naśladującej wiernie grotę w Lourdes. Młodzież przybyła ze sztandarami o kolorach narodowych w bardzo znacznej liczbie.

Powrót teatru do kościoła.

Tak, jak pierwszych zaczątków naszego dramatu szukać należy w kościele, w urządzanych tamże misteryach naprzykład z okazyi uroczystości Bożego Narodzenia i łączących się z niemi dyalogach, tak też i dalszy jego ciąg łączy się znów z kościołem.

W Salzburgu chwycono się bardzo skutecznego



Koronacya statuy cudownej Matki Boskiej w Brukseli: Procesya z cudowną statuą z kościoła św. Mikołaja do kościoła św. Guduli.



Koronacya statuy cudownej Matki Boskiej w Brukseli: Kardynał Mercier dokonuje aktu koronacyi na Placu Ratuszowym.

żmudnemu stanowi nauczycielskiemu, świadczy fakt, że do nowo powstałego zakładu zgłosiło się przeszło stu uczniów, co daje nadzieję, że nowa placówka oświatowa w krótkim czasie zgromadzi jeszcze liczniejszą rzeszę przyszłych wychowawców młodego pokolenia, a pod umiejętnem kierownictwem stanie na poziomie pierwszorzędnych zakładów naukowych.

Zbliżenie między Watykanem a Kwirynałem.

(Do illustracyi na str. 4).

Pół wieku przeszło mija od chwili wkroczenia wojsk piemonckich do Rzymu i zjednoczenia Włoch pod berłem dynastyi sabaudzkiej. Na znak protestu przeciw zamachowi na Państwo Kościelne ówczesny papież, Pius IX, zamknął się jako dobrowolny więzień w Watykanie, stosunki pomiędzy rządem włoskim a Kuryą papieską zupełnie zerwano, a polityce tej, szkodliwej dla obu stron, pozostali wierni wszyscy następcy Piusa, aż do obecnego papieża Benedykta XV. Watykan został wyłączony z obszaru ziem włoskich, stanowiąc resztkę dawnego Państwa Kościelnego.

Obecnie stosunki pomiędzy Watykanem a Kwirynałem zaczynają się poprawiać i nie jest wykluczonem, że dojdzie do porozumienia, do którego dążą obie strony. Świadczyłoby o tem powierzenie teki ministra wyznań i oświecenia w nowym gabinecie włoskim jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli stronnictwa katolickiego. Wspominają też o projekcie zwiększenia terytoryum watykańskiego sąsiednimi obszarami, które nadal pozostałyby eksterytoryalnymi, wraz z innemi posiadłościami papieskiemi, wzamian za to papież miałby uznać oficyalnie rząd włoski i zerwać z dotychczasową polityką swych poprzedników.

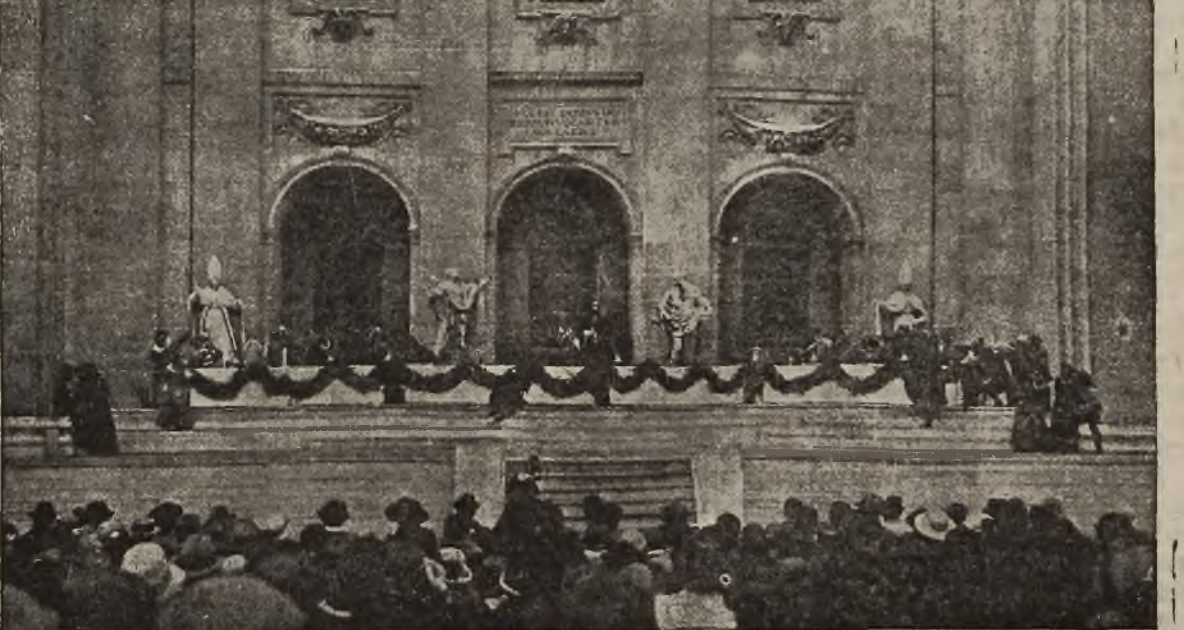
O próbach zbliżenia świadczą także i inne, na pozór drobne okoliczności, nie pozbawione przecież głębszego politycznego znaczenia. Oto w dniu 4. września b. r. pojawiły się po raz pierwszy od lat pięćdziesięciu w obrębie Watykanu narodowe sztandary Zjedno-

Do przybyłych przemówił w gorących słowach z tronu ustawionego w grocie, obok statuy Matki Boskiej, papież Benedykt, otoczony swym dworem.

Zdążająca do Watykanu młodzież katolicka narażoną była podczas pochodu na zaczepki ze strony jednostek z pośród tłumu, odnoszących się wrogo do sfer watykańskich.

Po przyjęciu w Watykanie udała się młodzież na Plac Wenecki, celem złożenia wieńców u stóp pomnika twórcy Zjednoczonych Włoch, Wiktora Emanuela, aby w ten sposób obok swych uczuć katolickich zamanifestować także i narodowe, na dowód, że można być wierzącym katolikiem a równocześnie i gorącym patryotą włoskim.

środka, mającego na celu spopularyzowanie między tamtejszą religijną ludnością sztuk teatralnych treści umoralniającej i pouczającej. Oto pod gołem niebem na scenie, urządzonej na ostatnim podeście schodów wiodących do tamtejszej katedry rozgrywają się przed oczyma widza sceny z życia i przeszłości, wysoce interesujące każdego, tak inteligentnego, jak i prostaczka. Przedstawienia te spotkały się z bardzo żywem i życzliwem przyjęciem ludności, tak miejscowej, jak i okolicznej, nawet z odległych stron przybywają ciekawi, aby na niezwykłej scenie ujrzeć „Fausta", „Bogatego człowieka", Straussowskiego „Kawalera z różami" lub „Kobietę bez skazy" itd. Napływ ludu z każdym dniem się zwiększa.



Powrót teatru do Kościoła: Scena teatralna na schodach katedry salzburskiej podczas przedstawienia, wobec tłumów zalegających plac.

Koronacya statuy cudownej Matki Boskiej w Brukseli.

(Do illustracyi na stronie 9.).

W bieżącym miesiącu odbył się w Brukseli Kongres Maryański, w którym wzięła udział cała katolicka Belgia.

Jednym z głównych punktów programu była koronacya cudownej statuy Matki Boskiej Pokoju, otaczanej w całej Belgii nadzwyczajną czcią od wieku dwunastego. Statua ta znajduje pomieszczenie w kościele św. Mikołaja w Brukseli, a Matka Boska Pokoju od wieków uważaną jest za Patronkę Belgii, niosącą pokój dworom, ojczyźnie, rodzinie i narodom. Obecna koronacya figury Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus złotemi koronami, ofiarowanemi przez brukselskie panie, była aktem dziękczynienia za ukończenie wojny, w której Belgia wiele wprawdzie ucierpiała, ale ostatecznie wyszła z niej zwycięsko.

W uroczystości koronacyi, której dokonał kardynał Mercier, gorący patryota belgijski, narażający w czasie wojny niejednokrotnie swe życie w obronie swych owieczek i otaczany skutkiem tego głęboką miłością i czcią całego narodu, wzięły udział tysiące wiernych z całego kraju, przedstawiciele władz i nadzwyczaj licznie zebrane duchowieństwo. Dzień koronacyi był dla całej katolickiej Belgii prawdziwem świętem pokoju.



Zgon znanego artysty: Sp. Józef Solnicki, b. artysta operetki lwowskiej w jednej ze swoich ról popisowych.

W uroczystej procesyi przenieśli kanonicy cudowną statuę z kościoła św. Mikołaja do kościoła św. Guduli przed którym, na Placu Ratuszowym ozdobił skronie Najświętszej Panny i Dzieciątka Jezus kardynał Mercier złotemi koronami wśród pobożnych śpiewów, dźwięku dzwonów całego miasta i brzmieniu fanfar. Akt koronacyi odbył się ze wzniesienia ustawionego przed kościołem, poczem odprawiono solenne nabożeństwo.

Tak w procesyi, jak i w nabożeństwie wzięli udział liczni biskupi i prałaci, niższe duchowieństwo, instytucye katolickie, między niemi delegacya profesorów uniwersytetu Louvain w swych uroczystych strojach, rząd belgijski reprezentowany był przez prezydenta ministrów Carton de Wiart.

Statua Matki Boskiej przybraną była w białą szatę ozdobioną wspaniałemi i cennemi koronkami, dziełem rąk kobiet brabanckich, słynnych w całym świecie z ich wyrobu, złote berło, które dzierży w dłoni Dzieciątko Jezus, ozdobione było szarfami o barwach narodowych.

Po ukończeniu uroczystości przeniesiono statuę procesyonalnie z powrotem do kościoła św. Mikołaja, gdzie stanowi cel pielgrzymek Belgijczyków z całego kraju, podobnie jak nasza Matka Boska Częstochowska.

Katolicki lud belgijski odznacza się głęboką religijnością i żywą wiarą, szczególniejszem zaś nabożeństwem otacza postać Matki Zbawiciela, w czem przypomina bardzo naród polski, widzący w Niej swą Królowę i Orędowniczkę.

Zgon znanego artysty.

Nieubłagana śmierć zbiera w tym roku obfite żniwo pośród dziatwy Melpomeny, jak gdyby chciała stwierdzić prawdziwość słów warszawskiego spirytysty, Guzika, który w czasie jednego z seansów miał podobno przepowiedzieć, że w bieżącym roku czeka śmierć wielu naszych cenionych artystów. Jeśli to fakt, a nie kaczka dziennikarska, wypuszczona z klatki na chwałę nieomylności Guzika, to w samej rzeczy przyznać się musi, że się nie pomylił w stosunkowo bowiem krótkim czasie przenieśli się do lepszego życia Bończa, Mann, Mrozińska, obecnie zaś powiększył ich grono śp. Józef Solnicki, znany i ogólnie lubiany artysta operetki.

Wiadomość o jego zgonie nadeszła w ubiegłym tygodniu z Warszawy, zasmuciła wszystkich miłośników lekkiej muzyki i bywalców teatralnych, szukających tam rozrywki po trudach i kłopotach codziennego życia. Tryskający humorem i życiem Solnicki był ich ulubieńcem, jego wesołość i ruchliwość udzielała się całemu zespołowi aktorskiemu, wnosił on na scenę humor i życie, zbierając za to zasłużone oklaski. Nie potrzebował on szukać płatnej klaki, samo jego pojawienie się na scenie, nim jeszcze miał czas usta otworzyć, witano długotrwałą salwą oklasków, po skończonym akcie wywoływania jego nazwiska szły w nieskończoność. Każda z jego ról, choćby najdrobniejsza, była popisową, a choć surowsi krytycy zarzucali mu nieraz przesadę, publiczność widziała w nim wskrzeszenie dawnych świetnych tradycyi śp. Skalskiego i Myszkowskiego, których pamięć przechowała się dotąd między nami.

Karyerę swą sceniczną rozpoczął Solnicki w balecie i tem się tłómaczy ta jego w podziw wszystkich wprawiająca żywość i zwinność ruchów, następnie przerzucił się do operetki, wybijając się odrazu na pierwszy plan. Lwów przepadał za Solnickim, nie mniejszą sympatyą darzył go Kraków, gdzie corocznie gościł z lwowskim zespołem operetkowym w letnim sezonie. Jego role w „Wesołej wdówce", „Manewrach jesiennych", „Krzysi leśniczance", „Cnotliwej Zuzannie" itd. były zawsze kreacyami pierwszorzędnemi, choć bowiem nie obdarzony wybitnym głosem śpiewackim, brak ten nagrawiał wyrazistością dykcyi, przedewszystkiem zaś niefrasobliwym humorem, pobudzającym widzów aż do łez.

Wypadki wojenne zagnały go do Krakowa, gdzie występował jakiś czas na deskach Teatru „Nowości", skąd usunął się dopiero skutkiem nieuleczalnej słabości, która też przecięła w Warszawie pasmo dni jego żywota. A nie tak dawno jeszcze wydawało się każdemu, widzącemu go na scenie, że ten człowiek ma przed sobą co najmniej z kopę lat, a dzięki swemu humorowi wykpi się nawet nieubłaganej Kostusi.



Sport w Ameryce Amerykański sekretarz stanu, Davis, w wyścigu pieszym 100 yardowym.

Sport w Ameryce.

Im dalej posuwamy się w stronę zachodnią spotykamy się z tem większem zamiłowaniem do rozmaitych rodzajów sportów, zależnie od właściwości danego kraju i usposobienia jego mieszkańców. Zrozumiano tam dobrze, jakie znaczenie dla zdrowia mają zajęcia i zabawy sportowe, pozwalające na używanie ruchu i świeżego powietrza głównie tym, którzy całe tygodnie spędzają w dusznych murach urzędów, fabryk, warsztatów. Te kilka godzin, spędzonych na zabawie sportowej, to prawdziwe dobrodziejstwo dla ich zdrowia i życia. I u nas rozwija się sport coraz lepiej, naśladując zagranicę, z której do nas przyszedł w miarę przyjmowania się u nas zachodniego postępu, który zmienił zupełnie dawne nasze zwyczaje i obyczaje. Dziadowie nasi, spędzający większą część życia na świeżem powietrzu, na łowach, czy to na wojence, nie potrzebowali szukać sztucznych rozrywek sportowych, gdy całe ich życie było jednem nieprzerwanem pasmem zupełnie naturalnych.



Sport w Ameryce: Jenerał Persching, na czele grupy wojskowych, którzy brali udział w matchu „polo" w Waszyngtonie, pozdrawia obecnego na nim prezydenta Stanów Zjednoczonych, Hardinga.

Z krajów zachodnich największy rozwój osiągnął sport w Anglii i Ameryce Północnej. Wogóle Anglosasi odznaczają się wielkiem zamiłowaniem do niego, rozumieją jego wartość, a jako ludzie praktyczni umieją pogodzić przyjemne z pożytecznem, nie tylko się bawiąc, korzystając na zdrowiu, ale i robiąc przytem bardzo dobre interesy pod postacią zakładów pieniężnych, bez których się u nich żadna rozrywka nie obej zie.

W tych krajach oddają się zajęciom sportowym nie tylko ludzie młodzi, ale i w poważnym wieku będący, nie dziwi to nikogo, jeśli w wyścigu pieszym dojrzy między uczestnikami osiwiałego mini-

stra lub senatora, a przy rozgrywaniu matchu poważnego jenerała, którego nazwisko znanem jest w całym świecie. Żaden z nich nie obawia się, aby to mogło osłabić jego powagę i znaczenie, wie o tem natomiast dobrze, że przyczyni się to do jego zdrowia, a nadto wyrobi u szerokich mas popularność, z której kiedyś można będzie skorzystać. Dzięki temu zamiłowaniu do sportu są też tamtejsi obywatele daleko zdrowsi od tych, którzy sport popierają w ten sposób, że są naprzykład członkami Towarzystwa wioślarskiego, aby mieć sposobność zagrania w karty, a członkowstwo swoje „Sokoła“ lub „Strzelnicy“ ograniczają do jawienia się w czasie wieczornic lub zebrań, połączonych bodajby tylko z zimną przekąską. I dzięki temu może sobie taki ośmdziesięcioletni Edison pozwolić na urządzenie poobiedniej drzemki na trawniku bez obawy, aby mu miała zaszkodzić wilgoć, która „z ziemi może wleźć w jego kości“.

Nasze illustracye stwierdzają prawdziwość powyżej przytoczonych słów. Na jednej z nich widzimy sędziwego amerykańskiego ministra pracy, Davisa, biorącego udział w publicznym biegu 100-yardowym, gdy natomiast jego europejscy koledzy zdecydowaliby się co najwyżej na stanięcie u startu przy... biegu wyborczym. Na drugiej znajdujemy prezydenta Stanów Zjednoczonych Hardinga i słynnego jenerała Perschinga na czele grupy członków armii amerykańskiej i kubańskiej, którzy w Waszyngtonie wzięli udział w rozegraniu międzynarodowego turnieju w „polo“.

Atak szału kapelmistrza podczas koncertu.

Warszawa nie może narzekać na brak senzacyi, ma ich może nawet aż za wiele, wobec czego nie wywierają one większego wrażenia na ogół, który jakby zżył się z nimi, przechodząc nad zdarzeniami, które dawniej na dłuższy czas poruszały opinię publiczną, w stosunkowo bardzo krótkim czasie do porządku dziennego.

Jedną z ostatnich był atak szału, jakiemu podczas koncertu, odbywającego się w sali Filharmonii, uległ dyrygent orkiestry, znany powszechnie muzyk i kompozytor Birnbaum.

Wielcy artyści, bez względu na to, jakiemu działowi sztuki się poświęcili, to ludzie żyjący przeważnie nerwami i tem się różniący od szarego tłumu, uważającego ich niejednokrotnie za dziwaków.

Napięcie nerwowe, w jakiem stale pozostają, doprowadza też bardzo często do poważniejszych zaburzeń w ich życiu duchowem, co nawet dało powód do powstania przysłowia, że „wielki geniusz i szaleństwo, sąsiadują bardzo blisko ze sobą“. Artysta zupełnie innemi oczyma zapatruje się na świat i jego życie, niż ogół, który nawzajem nie może pojąć jego postępowania i w porównaniu ze sobą, uważa go za człowieka nienormalnego. Widzimy to najjaskrawiej na naszych futurystach, patrzących na wszystko „oczyma duszy“ i spostrzegających takie rzeczy, jakich my, zwykli śmiertelnicy, w żaden sposób dopatrzeć się nie możemy.

W krytyczny wieczór Birnbaum, który od pewnego czasu objawiał coraz większe rozdrażnienie, podczas koncertu w sali Filharmonii, w chwili, gdy dyrygował orkiestrą, zwrócił się twarzą do publiczności i rozpoczął przemowę. Zachowywał się przytem tak nienormalnie, iż nie ulegało żadnej wątpliwości, że się ma do czynienia z ostrym atakiem choroby umysłowej. Aby uniknąć niepotrzebnej paniki między słuchaczami, sprowadzono go z estrady, co się zupełnie powiodło. Natychmiast pospieszono mu z pomocą lekarską, przyczem skonstatowano, że uległ on równocześnie i atakowi sercowemu. Miejsce jego przy pulpicie kapelmistrzowskim zajął inny muzyk, a koncert odbył się w dalszym ciągu bez przeszkody.

Warszawski świat artystyczny poruszyła żywo wiadomość o tym smutnym wypadku, ogół bardzo rychło o nim zapomniał.



Atak szału kapelmistrza podczas koncertu: Zdzisław Birnbaum, artysta muzyk kapelmistrz warszawskiej Filharmonii.

Święto chryzantemów w Japonii.

Chryzantemy, czyli złocienie, to roślina ogrodowa, cieszące się w Japonii nadzwyczajną popularnością. Śmiało powiedzieć można, że jest to roślina narodowa dla Japończyka i trudno sobie jego, a przedewszystkiem Japonkę wyobrazić bez ozdób, mających jakiś związek z tym kwiatem. W dziełach sztuki japońskiej, w wytworach tamtejszego przemysłu spotyka się na każdym kroku z motywami opartymi na budowie liścia i kwiatu złocienia, najwyższy order japoński to order *Chrysanthemum*.

Złocienie w Japonii udają się daleko lepiej niż gdziekolwiekbądź indziej w świecie, a duży wpływ na to ma niezawodnie tamtejszy oceaniczny klimat, oddziaływający bardzo dodatnio na ich rozwój. Hoduje je każdy, kto ma do tego sposobność, a dzięki wysokiej kulturze i umiejętnej pielęgnacyi japońskich ogrodników doprowadzono do nadzwyczaj wielkiej liczby odmian, jedna wspanialsza od drugiej.



Święto chryzantemów w Japonii: Dwór cesarski, biorący udział w narodowem święcie posuwa się wśród szpaleru utworzonego przez dyplomatów, dostojników państwa i ich rodziny.

I u nas nie brak złocieni, nie dorównują jednak japońskim. Jest to dla nas kwiat prawdziwie jesienny, piękny dla oka, ale bez woni, przypominający, że już niedługo ułoży się przyroda do snu zimowego. W naszych ogrodach spotykamy jeszcze tu i ówdzie astry i złocienie, wkrótce pozostanie tam jedynie nieśmiertelnik nieczuły zupełnie na wpływy temperatury.

Tak jak u nas rodzajem narodowego święta jest obchód „Wianków“, a religijno ludowym zwyczajem święcenie ziela w dniu 15. sierpnia, w Japonii świętem narodowem, połączonem z kultem prawie religijnym jest święto chryzantemu, przypadające corocznie na porę ich największego rozkwitu. Bierze w niej udział cały naród z dworem cesarskim na czele, wszyscy i wszystko ozdabia się gałązkami złocienia.

Illustracya zamieszczona w niniejszym numerze przedstawia obchód święta chryzantemu w Japonii, a sporządzoną została według fotografii przywiezionej nam bezpośrednio przed wojną przez jednego z naszych turystów, który właśnie w tym czasie bawił w kraju lotosu, kwitnącej wiśni i wschodzącego słońca.

Kącik humorystyczny.

Nouveau riches.

— Wańciuchna, nie stój pod żyrandolem, bo ci może co na suknię kapnąć.

— Ależ, mamusiu, to żyrandol elektryczny.

— Wszystko jedno, moje dziecko, zawsze lepiej być ostrożną.

* * *

Jednemu z nowych milionerów, który przedtem nigdy nie uczęszczał do teatrów, a teraz chodzi tylko do „Bagateli“ i to wyłącznie na farsy francuskie, dał do zrozumienia nauczyciel jego dzieci, że wstydem jest nie znać dzieł Fredry.

„Nouveau riche“ wziął to sobie do serca, więc kiedy przyjechał Leszczyński i wystąpił w „Slubach panieńskich“ poszedł do teatru.

Po godzinie wpada do domu zły i oburzony.

— Co takiego — pyta żona — co ci się stało?

— Ten błazen belfer zadrwił sobie zemnie. Na tych „Slubach“ ludzie gadają do siebie wierszami. Słyszałaś ty kiedy w życiu coś podobnego? Kpiny pewnie. Nie mnie brać na kawał! Tfu! zirytowałem się i wyszedłem.

(autentyczne)

Kto panu mówiał.

Na zjazd katolicki był zarezerwowany wagon salonowy dla biskupów. Nagle wchodzi do niego jakiś żyd.

— Czego pan tu wlazł? — woła konduktor gniewnie — to wagon dla biskupów.

— Nu — odpowiada zapytany — kto panu mówiał co ja nie jezdem biskup?

(Humor Polski)

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył M. Sikora, Cieszyn.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda nazwę miejscowości, znanej z naszych najdawniejszych dziejów.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Kraj w Afryce, 2. Imię kilku papieży, 3. Zwierzę z rodziny gryzoniów, 4. Ptak domowy, 5. Stolica jednego z państw europejskich.

Szarada.

Ułożył Goły Demokrata z Krakowa.

Pierwsze czyni kto jest głodny,
Co się zresztą często zdarza,
Drugie zaś, to część budynku
(Ma też nazwę korytarza)

Całość, nazwa pory roku,
Ktora groźnie nam zwiastuje:
„Kto zastawił swoje futro,
Niech je rychło wykupuje!..“

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Ułan, Leszno.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę jednego z naszych stronnictw politycznych.

■ — ola
■ — ard
■ — ola
■ — oda
■ — mar
■ — ena
■ — zop
■ — oga
■ — dzi
■ — pir

Okienko.

Ułożył J. Kozak, Lwów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

h	i	i	i	i
k		o		o
p	p	p	r	r
r		r		t
t	u	u	y	y

Znaczenie wyrazów: 1. Jeden z Apostołów, 2. Biblijna kraina, obfitująca w złoto, 3. Jeden z władców średniowiecznej Rusi.

Zgłoskówka.

Ułożył Ludowiec z Warszawy.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i utworzyć nazwisko osobistości, która bezporednio wywołała ostatnie przesilenie gabinetowe.

Piekarski, Pinczów, Łuskina.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) M. Jokaja „Biała dama“ (powieść tłómaczona z węgierskiego, 2 tomy); 2) Kalendarz biurkowy na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nru 36

Zadanie do uzupełnienia: Wola, Łaba, Apis, dola, yard, wino, ocet, Sola, toga, opal, Kama.

Zgłoskówka. Od Anasza do Kajfasza.

Grzebieniówka: Woda, o, Lena, n, yard, h, Aron, n, Dora, e, lipa.

Trójkąt magiczny. Gałecki, Antoni, Łotwa, Ezap, oal, ku, I.

Figielek arytmetyczny. $3 \times (3 + 3^3) = 90$.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Cichoń Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, D. Grajower, Rzeszów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, B. Szypulska Wieliczka, A. Wr bel Tarnopol, K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowski Rzeszów, P. Batowski Tarnów, O. Niedziałkowska Kraków, R. Mąka Wolanka, W. Śmiszkiewicz Milówka, L. Kamocki Warszawa, W. Komperdowa Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) O Niedziałkowska Kraków (książka); 2) M. Cichoń Poznań (trójbarwny druk). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.